



**Prenumerata wynosi:** w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 80. — Na stacjach pocztowych w Cesarstwie, Królestwie, za granicą i w Redakcji kwartalnie rs. 2 kop. 50. — Półrocznie rs. 5. — Rocznie rs. 10. Numer pojedynczy kop. 17. — w Krakowie prenumerować można w księgarni pana Friedleina. — w Poznaniu w księgarni pana Leitgebera, płacąc za półrocze 8 guldenów albo 5 talarów.

Treść Numeru: Od redakcji. — Miss Multon, Dramat w trzech aktach przez Eugeniusza Mus i Adolfa Belot. — Obrazy na wystawie zachęty sztuk pięknych w Warszawie. — Krzyżowe drogi. Powieść składana w listach czterech autorów. — Z młodocianych piosenek. (Wiersz). — Pogadanka tygodniowa. — Wiadomości bibliograficzne. — O ubiorach. — Przepisy Kuchenne.

## Od Redakcji.

Tygodnik Mód w kwartale drugim r. b. wychodzić będzie w tym samym co dotąd formacie i z temi samymi jak zawsze dodatkami. Po ukończeniu drukującej się powieści, rozpoczniemy nową w dwóch tomach p. t. *Na prowincji* oryginalnie napisaną przez panią Elizę Orzeszkową.

Prenumerata wynosi w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 80.

Na prowincji zarówno w Cesarstwie jak w Królestwie:

kwartalnie rs. 2 kop. 50.

półrocznie „ 5

rocznie „ 10

Należytość tę prenumeracyjną prosimy przysyłać wprost do Redakcji pod adresem mieszczącym się w każdym numerze tuż pod drzeworytem tytułowym.

Ponieważ pomimo najusilniejszych starań, jak najdokładniejszego ekspedjowania Pisma naszego, dochodzą nas skargi od niektórych Prenumeratorów, na niedochodzenie do nich wszystkich numerów Tygodnika Mód, a w innych znowu na brak dodatków zwykle dołączanych, czujemy się przeto w obowiązku oświadczyć, że to zupełnie z winy Redakcji nie pochodzi. W wypadkach więc podobnego nadużycia, prosimy o przesyłanie zażaleń wprost do Ekspedycji głównej w Warszawie.

Upraszamy również o pośpiech w przesyłaniu pieniędzy prenumeracyjnych, aby w przesyłce Tygodnika Mód nie było przerwy.

## MISS MULTON.

### DRAMAT W TRZECH AKTACH

PRZEZ

Eugeniusza Mus i Adolfa Belot.

(Dalszy ciąg.)

### Akt drugi.

Dekoracja taż sama. Za podniesieniem firanki drzwi od ogrodu zamknięte.

#### Scena 1.

Ludwika — potem Fernanda.

LUDWIKA (wchodzi i spogląda w około). Nie ma nikogo... żaluje zamknięte... gdybym wiedziała że tak jest, byłabym sobie pospała jeszcze trochę..... Spać cóż to za rozkosz i do tego w ciepłym łóżeczku... Oh! panowie tacy szczęśliwi, oni zawsze spać mogą! (Mówiąc zbliża się ku drzwiom od ogrodu i otwiera żaluzję.) Zglądaj słoneczko — zglądaj... każdy rad kiedy ciebie zobaczy... (Spostrzega Miss Multon w ogrodzie) No proszę! Miss Multon. Ja myślałam że wstała najpierwsza a toć ona wcześniejzy ptaszek odemnie. (do Fernandy która wchodzi) Pani używa przechadzki po rosie Miss Multon.

FERNANDA. Lubię przyglądać się kwiatkom świeżo rozwiniętym, one najpiękniejsze z rana.

LUDWIKA. Ja kiedy wstanę, lubię najlepiej filiżankę mleka. Do widzenia Miss Multon.

(Odchodzi przez drzwi w głębi sceny.)

#### Scena 2.

FERNANDA (sama siedząc w fotelu na prawo). Nigdy odkąd tu jestem, nie czułam... Oh to wspomnienie... W taki to poranek wiosną, przechadzałam się pierwszy raz po tym ogrodzie. Było to po ślubie naszym. Jakże to daleko od tego dnia! a przecież nie się tu nie zmieniło. (Patrzy w stronę ogrodu). Ten powiew tak słodki i świeży, to ten sam, co przed laty szesnastu chłodził czoło moje... widzę jeszcze te rozwijające się pączki krzewów... Wszystko się odradza, ja tylko odrodzić się nie mogę. Na drzewach pozostał gdzieś niegdzie suchy liść, wspomnienie dawniej zieloności...

nowy liść straci go lub pokryje... ale w sercu gdzie nie nie odkwita, zeschłe liście, zwiędłe wspomnienia, pozostaną na wieki... Chciałabym umrzeć tu, wśród moich dwojga aniołków... Wtedy może, kto wie, w ostatniej chwili ośmieliłabym się przycisnąć je do serca!... pocałunek, pieczętota moich dzieci, ich łza, jedna łza ich nademną, oh to dosyć, niechby usta moje zamknęły się na wieki, jakby wypłyły tę łzę... Biedne dzieci! czy one mnie kochają? Uściskiem, przymileniem, można pociągnąć te niewinne serca do siebie, a ja napominam je tylko, uczę nudnej lekcji, ona zaś pobłaża im, pieści je, bawi się z nimi!... Oh! wolałabym żeby ich nie kochała!... Nie, nie... Ja bluźnię! moje serce samolubne, niewdzięczne, błogosławić mi ją raczej że je kocha... (powstaje). Tak byłam silna pierwszego dnia, a teraz słabną, drzę staje się lekliwą. Ten spokojny wzrok, wlepiony niekiedy we mnie w szczególny sposób, rozdziera mi duszę. Czyżby odgadł? O nie! jam szalona... od pierwszego dnia wypędziłby mnie z domu... gdyby wiedział kto jestem czyżby mnie tu zostawił?... Zkąd mi te myśli. (Idąc do stolika) O! ich kajeta, ich książki... wczora przed odjazdem zapomniały ich na stole... muszę połączyć je za niedbalstwo... łoża w teatrze... jakaż to miła dla nich niespodzianka... ja niczem ucieszyć ich nie mogę, ja... mam prawo tylko łączyć (przyciska do ust kajeta dzieci). O drogie skarby moje, nigdy im nie powiem że są jedyną radością serca mego, jedynym promykiem dobroczynnym, co oświeca smutne dni moje.

(Delatour z Belinem wchodzi od ogrodu. Delatour przechodzi tylko przez salon, idąc do gabinetu swego na prawo).

#### Scena 3.

Fernanda. — Belin. — Delatour.

DELATOUR (do Belina). Za kilka minut ukończę tę pracę i odczytam ją z tobą. (do Fernandy którą spostrzega) Czy dzieci śpią jeszcze Miss Multon.

FERNANDA. Wczoraj położyły się bardzo późno.

DELATOUR. I pani także, uważałam żeś czekała na nie.

FERNANDA. Pan Paweł i panna Joanna — mogły być głodne za powrotem.

DELATOUR. Ludwika zaradziłaby temu. Miss Multon, czynisz więcej nad obowiązek. Jesteś gwernantką dzieci, a nie czem innym. Chciój o tem nie zapominać.

## Scena 4.

Fernanda.—Belin.

FERNANDA (do siebie). Nie czem innym — prawda — nie czem innym.

BELIN (zbliżając się do Fernandy). Nie umiem wypowiedzieć co się we mnie dzieje, ilekroć on do pani przemówi.

FERNANDA. Pan drżysz, więcéj jeszcze niżli ja.

BELIN. Prawda. Odkąd pani tu jesteś, przestałem żyć... Przez cały dzień strach przejmuję mnie aż do kości, nocą nie mogę zmrzyć oka. Jeżeli usnę na chwilę, śnią mi się niestworzone rzeczy, oto i dziś rano, stałem niby na wulkanie, gdy wybucha płomieniem. Zerwałem się jak z procy. Innego dnia były to znów jakieś skały podwodne — płynąłem niby swobodnie — aż tu krak...

FERNANDA. Biedny przyjacielu! Jak ja ciebie dręczę; gdybym mogła wrócić ci spokój.

BELIN. Byłby jeden sposób, bardzo prosty.

FERNANDA. Odjechać, czy nie prawda?

BELIN. Niestety! nie śmiem nawet żądać tego.

FERNANDA. Żądam życia odemnie... oddam je chętnie choć to bardzo smutny upominek.

BELIN. Widzisz pani że nie jesteś szczęśliwą.

FERNANDA. Szczęśliwą! jestem nią o ile być mogę. Mam to czego pragnęłam. Czyż mi zarzucisz pan jaką nieroztropność?

BELIN. Przyznaję ci pani... podziwiałem nieraz twój spokój... niekiedy pojąć go nawet nie mogę — dawniej byłaś pani tak żywa!

FERNANDA. Niestety!

BELIN. Przebacz pani przebacz, nie chciałem budzić... cóżem to ja mówić? ha! Otóż od kilku dni jesteś inna niż dotąd, w sercu twem pani, dzieją się rzeczy niepojęte dla mnie, bo ja skoro wyjdę z mojej łaciny i greczyzny... ależ widzę w oczach twoich przerażający wyraz, szczególniej kiedy rozmawiasz z panią... (zatrzymuje się z wachaniem).

FERNANDA. Z panią Delatour... Czemuż pan nieśmiesz wyrzec tego nazwiska?

BELIN. Tak, z panią Delatour, która zakochała się w tobie i obrała cię za powiernicę, w rzeczach bardzo drażliwych.

FERNANDA. Mówi mi o szczęściu swoim.

BELIN. Właśnie.

FERNANDA. Co pan chcesz, jestem przy niej — nie ma też innej powiernicy.

BELIN. Tym gorzej!

FERNANDA (przechodząc na prawo). Alboż ja żyję? Jestem Miss Multon — guwernantką jak dopiero powiedział...

BELIN. A co czy nie zgadłem? pani cierpisz.

FERNANDA. Czyż się zobowiązałam że cierpieć nie będę?

## Scena 5.

Ciąż sami Ludwika — potem Matylda.

LUDWIKA (wchodząc z głębi). Panno Multon, gdzie poszedł pan Paweł i panna Joanna?

FERNANDA. Gdzie poszli? ależ nigdzie, pewna jestem śpią albo się ubierają. Stałam dopiero co pod drzwiami pokoju — nie słyszałam nic i odeszłam aby ich nie obudzić.

LUDWIKA. Wierzę bardzo że było cicho; od dawna już ptaszki fruwały z gniazdek...

FERNANDA. Jakto?

LUDWIKA. Nie ma się czego lękać — zabrali z sobą żonę ogrodnika.

FERNANDA. A więc ogrodnik musi wiedzieć...

LUDWIKA. Nie wie nic.

FERNANDA. Dziwna rzecz — co tu robisz?

MATYLDA (wchodząc z prawej strony). Cóż to się stało?

BELIN. Dzieci poszły gdzieś nie uprzedziwszy nikogo.

MATYLDA. Bądź pan spokojny, domyślałam się gdzie są, — mój mąż czeka na pana.

BELIN. Idę zaraz. (na stronie) O mój Boże! znów same pozostaną.

(Wychodzi na prawo, za nim Ludwika. — Belin spogląda z trwogą na Fernandę i Matyldę).

## Scena 6.

Matylda.—Fernanda.

(Matylda bierze robotę krzyżową i siada w krzesle po lewej stronie stolika. Po chwili milczenia mówi do Fernandy, podczas gdy ta spogląda na ogród gwałtownie poruszona).

MATYLDA. Co tobie jest miss Multon, że tak patrzysz na ogród. Czy się niepokoisz o dzieci?

FERNANDA. Tak pani, zapytuję sama siebie w którą stronę iść mogły.

MATYLDA. Ja sama nie wiem na pewno.

FERNANDA. Jakiż pani nie wiesz? — i...

MATYLDA (z uśmiechem). I jestem spokojna bo domyślałam się celu tej wycieczki. (Fernanda patrzy na nią.) Powinny były opowiedzieć się... no siadajże miss Multon i nie dręcz się napróżno! Pawełek, Joasia powrócą tu za chwilę — połajemy je... a odtąd jak myślę, nie będą miały dla ciebie żadnych tajemnic...

FERNANDA (siada po prawej stronie stolika i bierze robotę). Skoro pani wie ich tajemnice, dosyć na tem.

MATYLDA. Nikt od ciebie miss Multon nie ma więcéj prawa do ich ufności. Pragnę aby ci ufały najzupełniej. Ale to charaktery niepodległe — może i dzikie nawet. Trzeba im czasu, aby mogły nawyknąć do nowych osób: ja sama nie łatwo przyswoiłam sobie, te podejrzliwe serca.

FERNANDA (podnosząc oczy na Matyldę). Czy tak?

MATYLDA. Nie miałam tego za złe, biednym siorotom opuszczonym przez niegodną matkę. (Fernanda porusza się gwałtownie.) O! miss Multon, jakież to słowo ja wyrzekłam... Odkrywam ci tajemnicę, której pan Delatour nie mógł zataić niestety! ależ to rzecz dawna, świat już zapomniał o tem.

FERNANDA. Nie wyjawię nikomu tajemnicy, może pani być pewna.

MATYLDA. Tak jest... ich matka... uniesiona niegodnym szalem... czy rozumiesz to miss Multon, żeby matka opuściła własne dzieci?

FERNANDA (stłumiouym głosem). Nie, nie pojmuję tego.

MATYLDA. Pozostały same w wieku, w którym tak potrzebny kierunek macierzyński. Powierzone obcym, zostawione same sobie, przeczuwając instynktem coś złego, te dwie biedne istotki, przytuliły się wzajem do siebie, i przywykły jedno drugiemu powierzać tylko własne myśli.

FERNANDA. O nieszczęśliwa! nieszczęśliwa!

MATYLDA. Żałujesz jej Miss Multon, co do mnie wcale jej nie żałuję.

FERNANDA. Jej przecież zawdzięczasz pani szczęście własne.

MATYLDA. To prawda, ale nie mogę jej przebaczyć tych cierpień jakie sprawiła drugim, tych też jakie im wycisnęła.

FERNANDA. Czyś pani z liczyła jej własne?

MATYLDA. Nie, ale wiem ile ich ja sama wylałam.

FERNANDA. Pani?

MATYLDA. O! długo musiałam walczyć z tem wspomnieniem. Pan Delatour poślubił mnie z konieczności, żeby dać matkę dzieciom, było to małżeństwo z rozumu, czysto z rozumu, lecz ja tego pojąć nie mogłam.

FERNANDA. Rozumiem panią.

MATYLDA. Ja zaślubiłam go dla siebie, chciałam być kochaną, a wiedziałam że nią nie będę.

FERNANDA. Pani wiedziała?

MATYLDA. Tak jest, bom od pierwszego dnia pokochała go szczerze. Pamiętam ten dzień... Słyszałam nieraz o nim, o jego znakomitym talencie, o wielkiem powodzeniu. Raz na wieczorze, w domu przyjaciół gdzie bywałam niekiedy z ojcem moim, spotkałam go także. Jak on był blady, jak się smutnie uśmiechał. Odgadłam zaraz, że kryje w sercu wielką boleść.

FERNANDA. Zgadła pani siłą współczucia.

MATYLDA. O! tak było to współczucie nagłe, dziwnie głębokie. Zrozumiał to zapewne bo w kilka miesięcy potem, po długiej z ojcem moim rozmowie, zbliżył się do mnie i zapytał: Czy pani zechcesz rozjaśnić zgasłe moje ognisko, i przynieść promyk

pociechy starganemu sercu? Czy chcesz być matką moich dzieci?

FERNANDA. A więc tamta umarła.

MATYLDA. Szczęściem.

FERNANDA. O pani! to okrutne słowo.

MATYLDA. Prawda... wyrzucam je sobie... ale ja tyle przez nią cierpiałam, tak ją nienawidziłam!

FERNANDA. Pani!

MATYLDA. O gdybyś wiedziała panno Multon ile mi było trzeba miłości, cierpliwości, odwagi i zręczności, tak jest, zręczności aby walczyć przeciwko jej wspomnieniu, aby pokonać tę nienawistną mi umarłą...

FERNANDA. Więc on ją bardzo kochał?

MATYLDA. Tak ją kochał, że gdyby sto razy była winniejszą, niechby tylko wróciła wszystkoby przebaczył.

FERNANDA. A więc podziękuj jej pani że nie wróciła, a umarłą błogosław a nie przeklinaj.

MATYLDA. Przynajmniej powinnam przebaczyć, i tak też oddawna uczyniłam, od dnia kiedy ujęty mojem troskliwym staraniem, moją miłością dla dzieci... Patrz pani... było to w tym salonie, stałam tak jak teraz, rozmawialiśmy przez chwilę o dzieciach, o ich przyszłości, i naszój, nagle pochylił się ku mnie, wzięł obie ręce moje i szepnął mi do ucha: „Matyldo, wszystko już poszło w niepamięć, przeszłość już nie istnieje... Matyldo ja tylko ciebie kocham!“ (uderzona straszną zmianą Fernandy). Ale cóż tobie jest panno Multon?

FERNANDA. Nic pani.

MATYLDA. Ty cierpisz.

FERNANDA. To nic, zaręczam panią... słucham — słucham z zajęciem... mów pani.

MATYLDA. Przebacz mi (śmiejąc się) utrudzam cię mojem zwierzeniem — jestem doprawdy bez litości.

FERNANDA (na stronie). O tak!

MATYLDA. Ależ ja tak szczęśliwa, że mam z kim pomówić swobodnie, tak mi błogo jak w pierwszym dniu szczęścia mego... O! jakże ta Fernanda co go tak nikczemnie zdradziła, mogła go nie zrozumieć, nie kochać!

FERNANDA. Może go za nadto kochała!

MATYLDA. Jakiż?

FERNANDA. O pani! są istoty exaltowane, gorączkowe, płomieniste, których dusze spokojne zrozumieć nie mogą; tym istotom właściwe porywy szalu, wielkie uniesienia i wielkie winy... Może ta nieszczęśliwa której pani zajęłaś miejsce, której pamięć nawet umiałaś pani zręcznie zatrzeć... może ta Fernanda była właśnie jedną z takich kobiet, może ona wzięła za obojętność, za pogardę, chłód człowieka zagrzebanego w pracach, roztargnionego myślą o przyszłości. Jedno spojrzenie źle zrozumiane, jedno słowo źle wytłómaczone, kiedy umysł szamoce się a serce poi niepewnością, wszak to nie raz wystarcza, do szalonego kroku. Po winie następują lzy, wyrzuty, ucieczka, śmierć jeżeli Bóg pozwoli. Oh! takie dusze nie mają rozważli, nie mają zimnej krwi dusz spokojnych, ale przynajmniej trzeba im odpuścić gdyż pokutować umieją.

MATYLDA. Tak jest, wierzę, wiem, że istnieją takie kobiety, ale nie mogę sobie wytłómaczyć, jakim sposobem pan Delatour mógł kochać jedną z takich istot.

FERNANDA. Kto wie czy ją nie kochał właśnie za to, że taką była. Dziwne są tajemnice w sercu ludzkim. Najgłębsza miłość rodzi się często z tych sprzeczności, które w mniemaniu zwyczajnych ludzi powinnyby zabić miłość. Są dusze prawdziwie wzniosłe, które przywiązują się w skutek zrzędzonych im boleści, dla tego właśnie, że mogą rozsiewać w koło siebie to, co serce ma prawdziwie boskiego: przebaczenie!

MATYLDA. Przebaczenie pozwalałam! ależ miłość?

FERNANDA. Czemu nie?

MATYLDA. Miłość bez czci — miłość bez poszanowania...

FERNANDA. O pani! serce nie rozumuje.

MATYLDA. Czy sądzisz, że pan Delatour mógłby jeszcze kochać tę kobietę, tę kobietę co go zdradziła?

FERNANDA. Alboż ja wiem?

MATYLDA. To niepodobna.

FERNANDA. Pani wiesz że podobna i dla tego się lękaś!

### Scena 7.

*Też same — Delatour.*

MATYLDA (rzucając się w objęcia wchodzącego Delatoura). O! powiedz! czy ty mnie kochasz?

DELATOUR. Zkądże to pytanie? co znaczy? kto mówi że ja cię nie kocham, (patrząc na Fernandę) czy to pani?

MATYLDA. Nie miej za złe miss Multon, jam szalona... Słuchaj co zaszło: wdałyśmy się w rozprawę o miłości, a że to przedmiot zawsze zajmujący dla dwóch kobiet, mówiłyśmy z zapałem. Miss Multon utrzymywała, że niektóre kobiety sądzą się kochane, choć niemi wcale nie są, że biorą za miłość szacunek pomieszany z przyjaźnią. Wtedy ja wyobraziłam sobie niedorzecznie, że jestem w podobnym wypadku, zadrżałam, a żeś przwzedł w tej chwili, przybiegłam do ciebie żebyś mnie zaspokoił.

DELATOUR. Sądzę miss Multon, że niepotrzebnie czynisz rozróżnienia w miłości. Podług mnie jedna tylko istnieje, miłość uczciwa, miłość gotowa do wszelkich poświęceń i ofiar, taką tylko czuć może kobieta z sercem, takiej tylko żądać ma prawo. Tamta miłość o jakiej mówisz jest skutkiem jakiegoś rozprzeżenia moralnego. Nie chcę jej znać, a wzbudzić ją uważałbym za hańbę. (Biorąc obie ręce Matyldy) Przysięgam ci droga Matyldo, że cię kocham ile tylko można kochać, że cię kocham całą duszą... Nigdy nie powątpiewaj o mnie... bo nie nas nigdy nie rozłączy... Chodź Matyldo.

Bierze ją pod rękę i wychodzą razem.

### Scena 8.

FERNANDA (sama). „Nic nas nigdy nie rozłączy!“ Patrzył na mnie mówiąc to, jakby mi rzucał w oczy wyzwanie! O nie! jam w błędzie... wzrok jego był tylko surowy... wyrzucił mi te słowa... Czyż to ja pobudziłam do nich?... Jak ona nienawidzi mnie, jak ona mną pogardza! Zabrała mi wszystko, serce męża, serca dzieci, wzbogaciła się moimi skarbami, i uraga mi, znieważa mnie niebacznie!... Czyż ona tak już pewna tryumfu? A on sam, czyż pewien że ją kocha tak bardzo jak mówi? — Czyż pewien siebie, że mnie zapomniał? (Mówiąc siada przy stoliku na prawo, i spogląda w zwierciadło stojące na nim.) Miałażby przeszłość umrzeć w jego sercu? Ona nie umarła w moim... nie, trudno zamurować serce jak grób... Gdybym chciała... gdybym mogła!... O! gdyby ten wzrok, który zgasiłam w obec niego, mógł zajaśnieć znów dawnym blaskiem... gdyby te usta surowe i zimne mogły się jeszcze uśmiechnąć!... Gdybym zawołała tylko: Maurycy! Maurycy, ona nie umarła! ona jest przy tobie! towarzysza pierwszych dni, matka dzieci twoich, to ona, to Fernanda! Nie poznajesz jej, odrącasz ją... odpędź — odpędź to widmo!... Ha spróbuję... chcę go zobaczyć... niech mnie wysłucha! (podczas ostatnich słów podnosi włosy splaszczony na skroni i zrzuca wielką mantylę.) Chcę zająć dawne miejsce, chcę moich dzieci — chcę... O! co ja cierpię — co ja cierpię!

### Scena 9.

*Fernanda — Belin.*

BELIN. Pani! coś wyrzekła! co to znaczy? gdyby przypadkiem kto nadszedł!

FERNANDA. Niech kto chce przychodzi!

BELIN. Niech przychodzi... niech przychodzi... Sprawiedliwe nieba!... o mój sen... mój sen... otóż i wulkan wybuchnął... Pani... Pani, ah!.. ja gotówem zemścić jak w pierwszym dniu. (Prostuje się) Otóż nie... będę miał odwagę... będę miał siłę bronić tego gościnnego ogniska... Pani... panno Multon... Fernando... mój Boże. O gdybym miał przynajmniej wymowę Demostenesa... ależ biedne, nieszczęśliwe dziecko, cóż mu odpowiem kiedy rzecze do mnie: Belinie... Belinie... kochałem cię jak syn... a tyś mnie zdradziła. Otóż pani! jeżeli nie masz litości nad nim, litości nad nią, miejże litość nad starym przyjacielem... Nie odpowiadasz mi, czyż nie zdołam poruszyć serca twego? O! twoje dzieci... twoje dzieci...

nieszczęśliwa matko, twoje dzieci, poznają całą przeszłość! twoje dzieci dowiedzą się o wszystkim.

FERNANDA. Ha! kto mi zaręczy że już nie wiedzą?

BELIN. Nie wiedzą, nie... co się zowie nic, przysięgam na to — a jak czezą, a jak szanują matkę.

FERNANDA. Czyż pan obudził w nich tę cześć, to poszanowanie?

BELIN. Nie, to on!

FERNANDA. On!

BELIN. Tak naprzód on — a potem ona.

FERNANDA. Ona? pan mnie zwodzisz. Ha! rozumiem, boisz się a więc mówisz mi o ich miłości, o ich poszanowaniu. Nie, nie, dosyć upokorzenia, dosyć tortur... Gdyby Bóg chciał bym to wszystko przetrwała, dałby mi więcej siły... moje dzieci, o muszę mnie pokochać, gdy się dowiedzą ile cierpiałam dla nich.

BELIN. Otóż i one, wszystko przepadło.

### Scena 10.

*Fernanda. — Belin. — Joanna i Paweł.*

(Belin chcąc ukryć pomieszanie mówi do dzieci, przysłaniając w części Fernandę, która jest między fortepianem a fotelem.)

BELIN. Ha otóż i wy... małe włóczki... Gdzieżście chodzili tak rano, nie opowiedziawszy się nikomu? — Co znaczy ta wyprawa tajemnicza?

PAWEŁ. Nie łaj nas drogi! panie! my nie zrobiliśmy nic złego.

BELIN. Spodziewam się że nic — ależ i tak... (do siebie.) Sam nie wiem co mówię do nich, drzę jak listek!

JOANNA. Alboż to pan nie wie gdzieśmy poszli?

BELIN. Wcale nie.

PAWEŁ. O bajka!

BELIN (surowo). Chłopcze! (do siebie.) Dobywam gruby głos żeby lepiej ukryć pomieszanie. (głośno) Proszę mi wszystko opowiedzieć jak było!

JOANNA (cicho do Belina). Nie jesteśmy sami.

BELIN. Alboż to macie sekreta dla miss Multon, która tak jest dobra dla was.

PAWEŁ (cicho do Joanny). To prawda — możemy i źle zrobić.

JOANNA. I ja to mówiłam ci przed chwilą.

BELIN. Miss Multon była bardzo niespokojną o was, musicie ją przeprosić, wytłomaczyć się... A jeśli znów kiedy przyjdzie wam ochota do wędrówki, trzeba się koniecznie opowiedzieć, aby nie sprawić jej niepokoju. (do siebie) Sam nie wiem zkąd mam siły mówić to wszystko.

PAWEŁ (cicho do siostry). No mówże Joasiu.

JOANNA. Mów lepiej ty sam.

PAWEŁ. Oto wczoraj w teatrze, przyszła nam myśl dzisiejszej wycieczki.

BELIN. W teatrze!

JOANNA. Pamiętasz pan, te dwoje biednych dzieci, co to straciły ojca przy rozbiciu okrętu, i co to zawsze w dzień jego imienin rzucają bukiet kwiatów do morza.

PAWEŁ. I co śpiewają tę śliczną piosnkę do falmorskich.

JOANNA. O! myśmy tak płakali słuchając tej piosenki!

BELIN. Dobrze — no i cóż?

PAWEŁ. Zajrzyj pan do kalendarza — to właśnie jutro...

BELIN. Cóż takiego?

JOANNA. Dzień Sw. Fernandy, imieniny tej której już nie ma.

FERNANDA (porusza się gwałtownie). Ha!

BELIN. A więc...

PAWEŁ. A więc chcieliśmy jak te dzieci rozbitka, powinszować imienin naszej mamie...

BELIN. Ale gdzież... w jaki sposób?

PAWEŁ. W jaki sposób... Oto Joasi przyszła myśl... powiedzieliśmy do siebie, a raczej ona rzekła: W niebie wszystkie matki znają się zapewne i rozmawiają z sobą o dzieckach które opuściły, o ich modlitwach, i dowodach pamięci.

JOANNA. I ułożyliśmy wielki bukiet z kwiatów i prosiliśmy Marję Giraud żeby poszła z nami na cmentarz... Tam w pośród nagrobków, znaleźliśmy jeden młodej matki, która zostawiła kilkoro drobnych

sierot... na to potrzeba było czasu, bo chcielibyśmy wybrać grób najstaranniej utrzymany.

PAWEŁ. Nakoniec znaleźliśmy go — ja położyłem kwiaty obok innych, a Joasia — powiedziała cicho: „Dobra matko, coś zostawiła tak jak nasza sieroty na świecie, powiedz tej, która nie ma nagrobku, gdzieby można ponieść kwiaty, że jej dzieci proszą cię, abyś jej oddała bukiet zerwany dla niej.

JOANNA. Potem uklękliśmy na grobie, i modliliśmy się za obie matki, a potem wróciliśmy do domu.

PAWEŁ. Czy bardzo zawinił mi panie Belin?

BELIN. Nie... nie... to jest... tak... nie trzeba... No otóż masz! gotowem się jeszcze rozbeczeć!

JOANNA. Chwała Bogu! tak ładniejszy jesteś niż kiedyś się gniewał. (Fernanda podczas gdy dzieci mówiły, przyglądała znów włosy i okryła się mantylą.)

BELIN (cicho do Fernandy). No i cóż! wierzysz pani teraz że cię kochają?

FERNANDA (mocno wzruszona). Tak, tak... kochają mnie... ale...

BELIN. Czy szanują panią? Czy się domyślają czego z przeszłości? A więc zostawiam was razem, to godzina lekcji, zbadaj je pani a przekonasz się że mówię prawdę. (Do dzieci.) Zostawiam was moje dzieci, dalejże do nauki (wychodząc do siebie). Te ciągle wstrząśnienia zabijają mnie niedługo...

### Scena 11.

*Fernanda — Joanna — Paweł.*

FERNANDA (przystępując do dzieci które się zbliżyły do stolika). Zaczniemy więc...

JOANNA. Zdajesz się cierpiąca Miss Multon, jeżeli chcesz możemy dziś opuścić lekcję.

FERNANDA (siadając na prawo przy stole). O nie! nie trzeba nigdy tracić czasu.

PAWEŁ. My tego nie mówimy wcale przez lenistwo Miss Multon.

FERNANDA. Nie wątpię o tem.

PAWEŁ. My bardzo lubimy nasze angielskie lekcje, pani mówisz do nas tak słodko, z taką dobrocią.

JOANNA. Lekcja z panią to dla nas prawdziwa rekreacja.

FERNANDA. W jak miły sposób umieją się zawsze wyrazić!

JOANNA (siada na stołeczku po prawej ręce). Zaczniemy od tłumaczenia z angielskiego czy tak?

FERNANDA. Dobrze od tłumaczenia!

JOANNA. Zaczniemy ty Pawełku.

PAWEŁ (siada na lewo przy stoliku i czyta). „Bóg dał wszystkim żyjącym istotom instynkt rodzinny.“

FERNANDA. Lepiej powiedźcie instynkt rodzinny.

PAWEŁ (czyta dalej). „W prawdzie, u niektórych rodzajów brak uczucia ojcowskiego, ale nigdy matka nie opuści swych małych, dopóki potrzebują jej starań i opieki.“

JOANNA. A jednak na świecie są matki co opuszczają swoje dzieci.

PAWEŁ. Papa mówi że tylko szalone tak robią, wszak słyszałaś, kiedy była mowa o tej co to ja obronił przed sądem w zeszłym roku.

Fernanda porusza się gwałtownie.

JOANNA. Co pani jest Miss Multon?

FERNANDA. To nic, czytaj dalej Pawełku.

JOANNA. To już wszystko — mamy tylko jeszcze analizę i czasowanie.

FERNANDA. Zostawcie mi kajeta — przejrzę je.

Bierze kajeta z rąk dzieci.

PAWEŁ. Pani gniewasz się na nas Miss Multon, żeśmy wyszli dziś z rana bez opowiedzenia.

FERNANDA. Gniewam? o nie!

JOANNA. Nie miej nam pani za złe... kiedy matki tak dobre są dla dzieci, wszak trzeba żeby i dzieci pamiętały także o matkach.

FERNANDA. Zapewne... ale wasza matka wczynie was odumarała.

PAWEŁ. Tembardziej też żałujemy jej.

JOANNA. A potem ona umarła w tak okropny sposób... Tu oto, w tym salonie, papa odebrał list. Ja bawiłam się z Pawełkiem... Nagle wstał z krzesła i rzekł: wyprowadźcie ztąd dzieci.

PAWEŁ. Nazajutrz potem ubrali nas w czarne sukienki, i zaprowadzili do kościoła... Papa sam z na-

mi poszedł, i przez cały czas nabożeństwa, bardzo płakał.

FERNANDA. On płakał.

JOANNA. O! bo tak kochał naszą mamę. Umarła daleko od nas ona, która nas tak mocno kochała.

PAWEŁ. Kochała też bardzo naszego ojca... i ta śmierć zdaleka od niego...

JOANNA. I nie mamy nawet grobu żeby napisać na nim: „Najlepszej matce“ i żeby przy tych słowach, nasz ojciec kazał wyryć „najlepszej żonie“.

FERNANDA (chce powstać bardzo poruszona). Dość... już dość... rozdzieracie mi serce.

JOANNA. Co pani jest.

FERNANDA. Dajcie mi pokój! O to już za nadto!... za nadto! (Upada zemdlna na fotel, z którego chciała powstać.)

JOANNA. O mój Boże! (Biegnie ku niej.)

PAWEŁ. Miss Multon! Miss Multon!

JOANNA. Wołaj o pomoc... prędko...

PAWEŁ (przebiegając od jednych drzwi do drugich). Mam! panie Belin!

## scena 12.

*Ciż sami, Belin, Ludwika, Matylda potem pan Delatour.*

MATYLDA. Co się stało? (sposstrzega Fernandę). Miss Multon!

JOANNA. Zemdlała! (Wszyscy otaczają Fernandę, dzieci trzymają jej ręce).

BELIN (na boku — sam do siebie). Co tu zaszło?

MATYLDA. Przychodzi do siebie.

FERNANDA (powraca do zmysłów — lecz na pół obłąkana, odrzuca Matyldę). Nie... nie... (przechodzi spieszenie na prawo, i spotyka pana Delatour, który wszedł w tej chwili. Kolana jej skłaniają się, bierze go za obie ręce i mówi): Przebacź! przebacź!

DELATOUR. Pani.

FERNANDA (powstając). O! jam szalona! (przyskakuje do Belina w głąb sceny). Uprowadź mnie ztąd — uprowadź.

MATYLDA. I któż jest ta kobieta?...

Koniec aktu 2.

(d. c. n.)

## OBRAZY

NA WYSTAWIE ZACHĘTY SZTUK PIĘKNYCH  
w Warszawie.

Do najświeższych prac p. Kostrzewskiego, należy dość spory obrazek mający nazwisko: Sobótka. Patrząc na niego, oko z przyjemnością zatrzymuje się na niewielkim gronku pacholat wiejskich, wrzących przy płonącym ognisku, wielkim życiem, ale mimowoli zapytuje się o jakiej to porze dnia, odbywa się ta uroczystość, jeszcze z pogańskich wyglądająca czasów? — Księżyc na nowiu z gwiazdą czy planetą świecąca, zdaje się objaśniać, że to blisko północ, ale jasność całej okolicy dostrzeganej w szczegółach nawet w oddaleniu, zaprzecza temu przypuszczeniu. W zachodniej stronie widniejące światło na horyzoncie, ma być niby gasnącą zorzą niedawno zaszłego słońca, ale w chwili takiej gwiazdy nie występują tak jasno, a drzewa tracąc zieloność przyoblekają się w jedną ciemną barwę, zwaną poetycznie powłoką nocy. Nie północ więc ani wieczór, ani dzień także, więc w jakiejże dobie dramat się ten wiejski odbywał?

Pan Kostrzewski nadto, widocznie nie był nigdy świadkiem uroczystości sobótkowej w krakowskim, jaką chciał na obrazku przedstawić. Gdyby zajrzał do Obrazków wiejskich, znalazłby tam dokładny jej opis, i przekonałby się, że jest to zabawa głównie dziewcząt wiejskich, a chłopcy stanowią tylko otoczenie, dodatek zupełnie nie konieczny: że skakanie przez ogień jest także tylko igraszką młodych chłopaków, ale nie główną treścią Sobótki, którą jedynie stanowi śpiew choralny dziewcząt i przy trzymaniu się za ręce krążenie ich w około ogniska. Gdyby przyciemnienie całego krajobrazu było większe, sobótkowy ogień stałby się jaskrawszy, postacie więcej

wyraziste, i cały obrazek wieleby zyskał na efekcie. Nie idzie tu jednak o zamazanie przedmiotów, ale o barwę co ujednostajnia odcienie kolorów, a jednak szczegóły pozostawia w uwydatnieniu.

Na obrazach pana Millera znajdujących się na Wystawie: znać staranność, poszanowanie sztuki i chęć jak najlepszego obrobienia.

Portret pani Modrzejewskiej zaleca się podobieństwem wielkim, dobrym kolorytem i pochwyceniem uroczego spojrzenia, jakim zalecają się oczy tej ulubionej artystki.

Dwie dziewczyny wiejskie stanowią bardzo udatny obrazek. Jedna blondynka w niebieskim gorsieku, pomimo tęsknego wyrazu twarzy, owęj zadumy potracającej o pamiątki serca, ma ręce widocznie zbratane z pracą pokryte nieznanym przyémieniem, jakim wpływ ciągły powietrza na ciało ludzkie wywiera. Choć to drobnotka, ale godna wzmianki, bo dowodzi staranną bacznością o jakiej nie wszyscy nasi artyści pamiętają. Druga brunetka w czerwonym gorsieku, dziewczucha czerstwa, uśmiechnięta, przystraja swą towarzyszkę w pęczek kwiatków, przyglądając się uważnie czy jej z tem do twarzy. I koloryt i rysunek i obrobienie wszystkich szczegółów, staranne i umiejętne, ale w blondynce za wiele pańskiej delikatności, a w brunetce za wiele krwi południowej. Barwa tej ostatniej, a szczególnie jej oczy, robią ją bardzo podobną do Dziewczyny Rzymskiej, a nawet do jednego z małych Lazaronów zjadających winogrona. Wszystko to są prace p. Millera, a jeżeli w tych trzech twarzach zbliżonych do siebie podobieństwem są jakie różnice, to nie w kolorycie czyli w cerze jaką je przyoblekł. Wprawdzie i nasze słońce piec umie i barwie opalenizną, ale opalenie jest tylko chwilowe, nabyte, cera wrodzona i nigdy nie ginąca. Różnice między nimi widoczne, uwydatnienie ich odpowiednim kolorytem jest obowiązkiem artysty. Pominiecie tego, brunetkę krakowiankę zrobiło więcej podobną do Włoszki niż do polskiej dziewczuchy, co zapewne nie było zamiarem artysty.

## KRZYŻOWE DROGI

POWIEŚĆ

składana w listach czterech autorów.

Pani Girardin	Irena de Chateaudun
Teofil Gautier	Edgar de Melhan
Juliusz Sandeau	Rajmund de Villiers
Méry	Roger de Monbert.

Dalszy ciąg listu Edgara de Meihlan.

Piękny powiew wiatru rozchodził się w powietrzu; czas był bardzo dla naszej wycieczki przyjaznym. Pani Taverneau z Ludwiką, czekały na nas, nad brzegiem kanału.

Dumny z powierzonej sobie komendy, Alfred, umieścił się w tyle łódki wraz z panią Taverneau, okrytą szalem złotym w zielone pasy; ja z Ludwiką umieściliśmy się dla równowagi na przodzie.

Płócienna flaga umieszczona pośrodku stanowiła rodzaj namiotu i oddzielała nas zupełnie od towarzyszy podróży. Godność więc Ludwika nie była narażona na żadne niebezpieczeństwo, ponieważ tylko płótno dzieliło ją od opiekunki. W początkach miłości obecność trzeciej osoby bywa często przyjazną.

Kobieta najsurowszych zasad pozwala czasami na lekką poufałość będąc pewną nie nadużycia tejże.

Woda otaczała nas ze wszystkich stron, była srebrną i przezroczystą. Ludwika zdjęła rękawiczkę i czerpała ją ręką. Suknię zebrała w kolo siebie by wiatr jej fałdów nie rozwiewał. Kilka polnych kwiatów zdobyło jej słomiany kapelus, który oświecony słońcem tworzył jakby aureole, nad jej głową. Ja siedziałem u jej nóg, osłaniając ją wzrokiem jakby pocałunkiem, zatapiając w niej spojrzenia magnetyczne, otaczając ją atmosferą miłości, obejmując swą wolą. Przywoływałem wszystkie potęgi mej duszy i mego rozumu, aby rozbudzić w jej sercu myśl ukochania mnie i oddania siebie.

Powtarzałem cicho. „Przyjdźcie mi w pomoc tajemnicze siły natury, wiosna, młodość, siły, promienie i wonie. Wietrzyku łagodny obejmij jej piersi techniem ciepłem; kwiaty miłości ożywcie ją waszym przenikającym aromatem; słońce spuść na nią promień ożywczy, niech wszystko co żyje drży i żąda, niech jej to wszystko szepce do ucha, że jest piękną, że ma lat dwadzieścia, że jestem młody i że ją kocham!“

Czyż potrzeba odez w poetycznych, deklamacji romansowych, aby kobieta rumieniąc się skłoniła swe czoło, na ramię młodego człowieka?

Moje gorące uwielbienie elaktryzowało ją; siedziała nieruchoma. Czuję sam, że myśl moja przebiega z po za powiek i tryska ogniem; oczy jej zamykały się mimowolnie, wola ulegała mej czując się na pół zwalczoną, zastąpiła ręką oczy i siedziała tak chwilę, aby ująć mego wzroku. Odzyskawszy władzę nad sobą, zwróciła głowę nad brzeg i zaczęła chwalić cudowny obraz jaki przedstawiała zdaleka chata, umieszczona między drzewami w sąsiedztwie rzeki, otoczona w kolo cudowną roślinnością.

Ludwika ma poczucie piękna natury, przymiot nie właściwy prawie całemu jej rodzajowi. Pokazuje się, że artyzm w najmniejszych rozmiarach podnosi duszę człowieka. Kobiety w ogóle kochają kwiaty, chociaż ta miłość nie zawsze bywa szczerą, służy ona po części do pochlebnych porównań do jakich w obec ulubionych kwiatów, czują się obowiązani w pewnym już wieku mężczyźni.

Brzegi Sekwany, są w istocie zachwycające. Pagórki rysują się wdzięcznie, pokryte drzewami i roślinnością; gdzieniegdzie skała przebiega malowniczo, wioski i zamki sąsiednie odbijają się w wodzie, wyspy równie wielkie jak na morzu południowym wychodzą z łona wód, jak kosze z trawy.

Ludwika zachwyca się, nad różnymi odcieniami zieleności, nad kolorem i biegiem wody, jednym słowem nad całym otoczeniem rzeki.

Pozwalałem jej kąpać duszę w naturze, która mogła tylko wpłynąć korzystnie na moje zamiary.

Przybyliśmy kolo czwartej godziny na miejsce, i po lekkiej przekasce złożonej z jaj świeżych, śmietanki i poziomek, udaliśmy się na zwiedzenie fortecy meżnego króla Ryszarda.

Alfred był jak najlepiej z panią Taverneau, którą olśnił swemi wysokimi stosunkami społecznymi.

Podezas drogi, wyliczył jej więcej nazwisk, niż się takowych znajduje w kalendarzu królewskim.

Pocziwa dyrektorka poczty, słuchała go z wielkim szacunkiem, zachwycona iż się znajduje w towarzystwie człowieka, tak wysoko położonego w świecie. Alfred, który nie jest przyzwyczajony, mówiąc między nami, do słuchaczy tak dobrej woli, oddawał się rozkoszy opowiadania z całym zapałem, do czego mu ani żarty, ani ironja nie przeszkadzały.

Zachwycali się sobą wzajemnie.

Zamek obronny Ryszarda Lwie serce przypomina położeniem i architekturą, miasteczka nad Renem, ściany w połączeniu ze skałami, tworzą taką mieszczaninę, że nie widać gdzie się kończy dzieło natury, a gdzie się zaczyna dzieło człowieka.

Po wielu trudach i drogach prawie do nieprzebycia, doszliśmy z Ludwiką do podnóża gromady wież i wieżyczek, które się składały na wysoką wieżę zamkową. W czasie tej stromej drogi Ludwika potrzebowała często mej pomocy, mego ramienia. Traktowała mnie z zaufaniem, oswajała się ze mną coraz więcej.

Pani Taverneau, której niepodobna nazwać sylfidą, wspierała się całą siłą na ramieniu Alfreda, to mniej tylko dziwi, że mu go w końcu nie wyrwała.

Weszliśmy w głąb ruin, dostaliśmy się na platformę z ką był widok przepyszny i bardzo rozległy, a złoty szal pani Taverneau, błyszczał zdaleka w trawie jak chrabąszcz.

Na tej wysokości oddzielona od reszty świata, upojona świeżym powietrzem, z piersią oddychającą swobodnie, z ożywionem lekkim rumieńcem obliczem, Ludwika była zachwycająco piękną; kapelus spadł jej na ramiona, wstążki tylko zatrzymały go; w rękę trzymała garstkę dzikich stokrotek.

— Jaka to szkoda, mówiłem do niej że nie mam jakiego złego ducha na swoje rozkazy: zobaczylibyśmy poruszające się kamienie, wieże dawno pogrą-

żone w trawie podniosłyby się w blasku słońca. mosty zwodzone bujałyby na łańcuchach i ludzie uzbrojeni defilowaliby przed nami w swych wspaniałych szyszakach.

Posadziłbym cię przy sobie jako dziedziczkę zamku w wielkiej sali, pod herbowym baldachimem, pośród orszaku dam honorowych, łuczniczków i giermków. Ta fantazja wywołała na jej usta uśmiech i odpowiedziała: Zamiast się bawić odbudowywaniem przeszłości w marzeniu, patrzmy lepiej na wspaniały obraz, jaki się przed nami roztacza. W istocie niebo było cudowne, słońce zbliżało się ku zachodowi, pagórki przyciemnione rysowały się wspaniale na niebie pośród mgły zalegającej dolinę. Dym niebieskawy wznosił się z kominów sąsiednich miasteczek położonych u podnóża góry, dźwięk srebrny dzwonów, oznajmiający Anioł-Pański dochodził do nas z oddali; gwiazda Wenery, roztaczała blask miły w przezroczyściej kacie nieba. Pani Taverneau nie połączyła się jeszcze z nami, uprzejmość Alfreda tak ją oczarowała, że zapomniała o swój towarzysze.

Ludwika była już nieco zaniepokojona, długą nieobecnością swój opiekunki, pochyliła się nad przepaścią. Kamień który czekał tylko nacisku zmęczonę jaskółki, aby się oberwać potoczył się pod jej nogi. Przelekniona, rzuciła się ku mnie; ramiona moje otwarły się i zatrzymałem ją chwilę przy sercu. Była bardzo biała; mocny zawrót głowy oparował ją całą.

— Nie daj mi pan upaść, w głowie mi się kręci!  
— Nie lękaj się pani, odpowiedziałem, trzymam mocno, duch przepaści nie dosięgnie cię.

— Oh! cóż za piekielna myśl drapać się, jak koty po tych zwaliskach, zawołał Alfred, ciągnący za sobą panią Taverneau, która w swym szalu, przypominała maczek polny wyglądający w pośród kłosów zboża. Wyszliśmy z wieży, dążąc do czółna. Ludwika spojrzała na mnie smutno i usiadła obok pani Taverneau. W kilka godzin byliśmy z powrotem w Pont-de-l'Arche. Oto wierny opis owęj wyprawy. Jest to mało i wiele. Nabyłem przekonania, że robię wrażenie na Ludwice, moje spojrzenie ją miesza, słowo wzrusza, trzymałem ją chwilę na mem łonie nie odechnęła mnie. Prawda i to, że jezuitym kobiecie mogłyby złożyć na karb zawrotu głowy, rodzaj zawrotu młodości i miłości, który zawrócił więcej głów, jak wszystkie przepaście góry Białej! Jakaż to szczególna istota ta Ludwika! Jest to umysł awanturczy, w połączeniu z nieśmiałością dziewczęcą. Jest ona pełna niewiadomości i przenikliwości razem. Te przeciwieństwa są pociągające i przywiązują mnie do niej coraz więcej. Pojutrze pani Taverneau wyjeżdża za interesami na dni kilka de Rouen.

Ludwika zostaje samą, mam zamiar powtórzyć scenę z wieży, której nie przerwie ukazanie się złotego szala pani Taverneau, i zielone nysliwskie ubranie niefortunnego Alfreda.

Jakież słodkie sny będą kołysać tej nocy mój hamak w Richeport.

Mam nadzieję, że list mój następny, zacznie się od tych triumfujących słów: To bóstwo należy do mnie! Do widzenia drogi Rogerze, życzę ci powodzenia w twych poszukiwaniach. Jeżeli już raz widział Irenę, masz pewność że istnieje. Możesz ją spotkać jeszcze; ale wtedy, choćby ci przyszło zwalczyć tysiące przeszkód, powywracać ludzi, pozadeptywać psów tuziny leć prosto jak kula, za swą pięknością, chwycić ją za koniec skrzydła, jakby to uczynek sierzanta miasta, to jest z grzecznością, ale silnie; bo nie godzi się, aby książę Roger de Monbert był igraszką, kapryśną, paryżką dziedziczką.

Edgar de Meihlan.

#### LIST XIV.

IRENA DE CHATEAUDUN DO P. VICE-HRA. DE BRAIMES.

Hotel projektury w Grenoble.

Pont-de-l'Arche 18 Czer. 18...

Piszę pospiesznie te kilka słów, które kładę w pudełko z wstążkami. Skrzynia odejdzie jutro dyliżansem. Byłabym ci ją wcześniej odesłała, ale buciki dla dzieci nie były gotowe. Niepodobnieństwo do-

stania tego co potrzeba, kupcy narzekają na brak robotników, robotnicy na brak roboty; trudno to wszystko zrozumieć. Ale dziś już wszystko załatwione, poczciwa Blanchard, którą posyłam do Paryża, dopilnuje sama zapakowania. Jeżeli nie będziesz zadowolona ze swoich sukien, szczególnie z niebieskiej i z czepeczka z drobnymi lila kwiatkami, to cię chyba już nigdy nie zadowolę. Paski nie kupione u panny Vatelina, a to z winy księcia de Monbert; przechodząc przez balwary zobaczyliśmy go zdaleka rozmawiającego z drugim. Weszłam do passażu Panorama, poszedł za mną; ażeby uniknąć tego ścigania, zamiast wejść do panny Vatelina, weszłam do chińskiego sklepu, pan de Monbert został pod drzwiami. Zażądałam kilka funtów herbaty, po której miałam przysłać, po czym wyszłam drugimi drzwiami na ulicę Vivienne. Książę nie był przez dziesięć lat w Paryżu, nie wiedział, albo zapomniał, że sklep ten ma dwa wchody, w taki sposób uwolniłam się od niego. Z przyczyny tegoż okropnego księcia także i tu powróciłam.

Nazajutrz po owym smutnym wieczorze w Odeonie, poszłam do hotelu de Langeae, aby zaciągnąć wiadomości o mojej kuzynce. Tam dowiedziałam się że pani de Laueae opuściła Fonteneblau, jest w D... u pani de H... gdzie mają grać komedję, za dziesięć dni wraca do Paryża i prosi bym na nią czekała. To dobrze, będę czekać u niej. Ale dowiaduję się w tej chwili, że pan de Monbert, wyprawił scenę u odźwiernego, wpierając w niego że wie o moim pobycie, że mnie widział, że go oszukuje okazywaniem niewiadomości. Znalezienie jego było dziwne, wszyscy domownicy byli zgorzeleni.

Przewidując zatem wizytę jego, tłumaczenia, wszystko to tak mnie przestraszyło, że wróciłam jeszcze do mój stancyjki. Pani Taverneau niespokojnie oczekiwała mego powrotu, i niezostawiając czasu do namysłu, zabiera mnie z sobą. Sądziś zapewne że w życiu wiejskim, w cieniu drzew nad brzegiem przezroczyściej rzeki, odzyskam spokojność. O! nie, nowe niebezpieczeństwo mi grozi. Uciekam od księcia wściekłego zagniewanego, aby wpaść w sidła gorączkowego poety. Wyjeżdżając zostawiłam pana de Meihlan uprzejmym, grzecznym ale rozsądnym, po powrocie zastaje go namiętym i szalonym.

Pokazuje się, że muszę być bardzo ponętą w nieobecności; oddalenie jest mi przyjemne.

To uczucie na jakie nie mam zamiaru zasługiwać, nudzi mnie bardzo; boję go się strasznie, jednym słowem nie sprawia mi ono takiego wrażenia o jakim marzyłem. Młody poeta wziął za prawdę ową zalotność na jaką się zdobyłam, aby się dowiedzieć co o mnie mówił jego przyjaciel.

Wyobrazil sobie, że go uwielbiam i nie mogę wprowadzić go z tego głupiego przekonania. Pomimo to, że przybieram postać rozgniewanej Minerwy, wspaniałej królowej angielskiej, otwierającej parlament, lub minę ostrą, surową ochmistrzyni pensji, wszystko to nie niszczy jego nadziei.

Gdyby to było miłością, mogłoby być dla mnie pociągającym i niebezpiecznym, ale to prosty magnetyzm, jakiego sile zarówno uleż można, jak ją ubezwładnić.

Śmiejesz się, jednak to nie innego: stara się mnie odurzyć, rzuca spojrzenia złej woli jakimi chce ożywić wyrazy sztywne, pełne jednak kłamanego zapachu.

Dla mnie jestto wszystko nieznośne. Powiem mu szczerze, że magnetyzm nie oddziała na mnie, bo kocham innego, a jeżeli zapyta kto jest ten inny, odpowiem mu śmiejąc się: Sławny uczeń Mesnera, doktor Dupotet.

Pośród tej igraszki o małym się wczoraj nie zabiła. Zalekniona kłopotzącem mnie sam na sam, w ruinach starego zamku, jaki zwiedzaliśmy wszyscy razem, stanęłam na oknie niskiej wieży aby zawołać panią Taverneau, którą spostrzegłam u podnóża doliny. Kamień na którym stałam oberwał się... gdyby nie pomoc pana de Meihlan, muszę to przyznać, pomimo całej mojej zrzeczności, byłoby po mnie... Wpadłabym była w okropną przepaść! Ah! jakżem się wylekła! drzę jeszcze, nigdy nie doznałam podobnego przestachu. Byłabym może

zemdlą, ale inny strach ocucił mnie z tamtego. Na szczęście wyjadę i te zarty się skończą.

Tak, rzeczywiście pojedę z tobą do Genewy. Dlaczegożbyśmy nie miały zwiedzić tamtych stron? Jakaż to będzie piękna podróż w wygodnym moim powozie. Bo trzeba ci wiedzieć, że mam pyszny podróżny powóz: odnawiają go teraz, jak tylko będzie gotów, wsiadamy do niego i jedziemy by cię uściskać. Zapytasz mnie zapewne, jakim sposobem przyszedłam do powozu podróżnego, nie odbywając dotąd dalszej podróży, jak z mój stancyjki na przedmieście św. Honorjusza.

Odpowiem ci: kupiłam ten powóz przypadkiem, jestto arcydzieło, nic lepszego nie zrobili nigdy w Londynie. Jestto wynalazek bogatej angielskiej, która podróżuje ciągle, sprzedała go z rozpaczą bo zdawało jej się, że jest ścigana przez jakiegoś zuchwałego młodzieńca, chcąc zatem żeby ją stracił z oczu, sprzedała powóz w jakim ją tyle razy widział. Jestto warjatka niejaką lady Penock, podobna do Lewassora w rolach angielskich, ale w karykaturze: Lewassor nieśmiałyby być tak śmiesznym.

A więc do widzenia: Jak pomyślę że za miesiąc będziemy razem, zapominam o wszystkich zmartwieniach.

Irena de Chateaudun.

#### LIST XV.

ROGER DE MONBERT DO P. DE MEIHLAN

w Pont-de-l'Arche.

Paryż 19 czerwca 18...

W ważnych wypadkach trzeba zawsze udawać się do policji. Policja jest wszędzie, wie wszystko, może wszystko, widzi wszystko. Bez policji Paryż nie mógłby istnieć; jest to obwarowanie wewnętrzne. Fouche był wynalazcą tego systemu, od jego czasów są już znaczne ulepszenia. Dziś w każdym najmniejszym kącie miasta, jest oko zwrócone na pięćdziesiąt cztery rogatki i ucho, które słyszy ruch wszystkich ulic, tych wielkich arterji Paryża.

Nie mogąc nic odkryć własnymi siłami, udałem się do bióra policji ulicy Jerozolimskiej: gdzie kazano mi zgłosić się za trzy dni.

Jeszcze więc trzy wieki miałem przed sobą! Ileż takich wieków przeżyłem w ciągu miesiąca!

Dlaczegoż ta myśl zbawienna, tak późno mnie nawiedziła?

W biurze tajemnic publicznych powiedziano mi: Panna de Chateaudun, opuściła Paryż przed pięcioma dniami. Dwunastego nocowała w Sens; potem udała się do Burgundji; zmieniła dyliżans w Villewallier, a 14 zatrzymała się w zamku pani de Lorgewal, o szesnaście kilometrów od Awalon. Ta dokładność wiadomości odurza umysł. Co za przebiegłość, co za sprężystość! jaki intelligentny mechanizm!

W Rzymie przedstawiliby taką policję, jako boginię w niszy Panteonu. Do zamku pani de Lorgewal! Powtarzałem sobie ciągle radosnym głosem: do zamku pani de Lorgewal! Po tak długiej nieobecności, nie znam prawie nikogo w Paryżu. Jestem obcym, jak Siamski ambasador. Kto może znać panią de Lorgewal? Jeden tylko Balaincourt, mógłby mi na to odpowiedzieć. Jest to herbarz chodzący.

Szybki kabriolet wysadza mnie przed hotelem pana de Balaincourt.

Wyroczenia szlachty, odpowiada mi:

— Pani de Lorgewal, jestto piękna dwudziesto-czteroletnia osoba.

Ma prześliczny głos mezzo-soprano i sto tysięcy franków dochodu. Jest to uczennica pani de Miobel jako miniaturzystka, a pani Damoreau jako spiewaczka. Przeszłej zimy, spiewała w koncercie na dobroczynność z hrabiną de Merlin piękny duet z Normy. Pytałem o inne jeszcze szczegóły ze zbytku ciekawości, ale ciekawość pokazała się zbyteczną, jak zwykle.

Pani Lorgewal, jest siostrą pięknego Leona de Varez.

Odblask światła, promień słońca w czarnej chmurze.

Piękny Leon de Varez, brzydki ideał piękności poetycznej, głupiec ukształtowany przez swego kraw-

ca, który przepędza życie przeglądając się w czterech zwierciadłach, mniej szklanych jak on sam. Uściskałem ręce pana de Balaincourt i rzuciłem się w wir paryzki. Gdyby piękny Leon był szpetnym, ta wada natury, usposobilaby mnie zupełnie obojętnie dla niego, ale ma on świętsze prawa do méj nienawiści. Sam osądzisz. Piękny Leon, prosił przed trzema miesiącami o rękę panny de Chateaudun; odmówiła mu. Na pozór wszystko się ułożyło.

Może to był wybieg: piękny Leon miał kochankę znaną całemu światu, wyjąwszy jemu. Może więc sam odroczył to małżeństwo, by jeszcze czas jakiś korzystać z praw kawalerskich.

Panna Irena zyskała na jakiś czas wolność, i w ciągu tego ja odgrywałem rolę konkurenta.

Jedno z tych dwóch przypuszczeń musi być prawdziwe. Może nawet i obydwaj a jednego dosyć na awanturę.

Fakt prawdziwy jest taki. Piękny Leon jest u wód w Ems, wraz ze swą umalowaną kochanką, a familja jego więzi pannę de Chateaudun w zamku Lorgewal. W jakiś czas, piękny Leon wymówi się ważnym jakim interesem przed kochanką, i uwolniwszy się od związku nielegalnego, pojedzie do zamku Lorgewal, ofiarować swą niewinną rękę i czyste hołdy pannie de Chateaudun.

W każdym razie, zdradzono mnie, zażartowano ze mnie.

Powtarzają sobie zapewne: Książę Roger jest dobre dziecko.

Z taką reputacją bywa się wystawionym na różne wybiegi drapieżnego rodzaju ludzkiego; potem: dobre dziecko przekształca się, i wszyscy błędną na około niego.

Byłbym zdolny przebaczyć kochance, któraby mnie oszukała, ale nie przebaczę nigdy kobiecie, co ucieka przed daniem szczęścia o jakim marzyłem. Mam prawo zawołać jak na złodzieja; trzymajcie! jeżeli ucieka. Ah! panno de Chateaudun, czyż chciałaś zranić mi serce i zostawić tylko widmo wspomnienia? A więc, obiecuje ci piękne rozwiązanie.

Zobaczymy się!

A ja byłem tak głupi, że chciałem do niej pisać, usprawiedliwiając się z mego postępowania w Odeonie! Usprawiedliwienie to jest mi oszczędzonym! Jakże by się śmiała z méj szanownej prostoty!.. Śmiać się nie będzie!

Pisząc ci o tem wszystkim drogi Edgardzie, niepodobna mi zachować zimnej krwi, jakto sobie postanowiłem na początku opowiadania. Czuje się spalonym zupełnie, przez ów ogień wewnętrzny, przez szatana—kobietę. Zazdrość sprowadza piołun na moje usta, opasuje czoło obręczą żelazną i nadaje ręką owo fatalne drżenie szukające życia na końcu sztyletu. Czuje teraz że zatraciłem w podróbach obyczaję waszój gładkiej cywilizacji.

Szorstkosc ludzi oddalonych została mi przyswojona. Zazdrość moja jest pełną huraganów i płomieni.

A wy, gdzieżeście się uczyli zazdrości, wy bladzi atlasowi młodzieńcy? Aktor, co mruczy i wywija drewnianym sztyletem, nauczył was zazdrości, nieprawdaż? Ja badałem tego potwora, pod innymi mistrzami. Tygrysy przewodniczyli mi w tej sztuce. Oni raz pochwyiwszy ofiarę, wzbudzającą w nich zazdrość, nie wypuszczają teje ze swoich szponów. Jest to wielka nauka, dla obydwóch pici drogi Edgardzie. Jak natura nam wybiera nauczycieli, wybiera dobrze. Niech cię Bóg strzeże od zazdrości.

Nie chcę zaszczycać tą nazwą tego uczucia niesprawiedliwego, pospolitego, jakie wynika z miłości własnej, gdy ta chce uchodzić za miłość. Zazdrość jaką ja mam w sercu, jest uczuciem szlachetnym i prawem. Nie zemścić się, byłoby to zachęcać do złego. Zapomnienie zupełne zniewagi dogodziłoby za nadto pewnej kaście ludzi. Trzeba się zemścić.

Mów mi o swój miłości drogi Edgardzie, nie obawiaj się obrazić mnie swem szczęściem. Nie mam tak złego serca. Opowiadaj mi co cię głównie zachwyca w kobiecie jaką kochasz. Rozkoszuj się w słodkich promieniach jej uśmiechów, upajaj się szczególnymi rozmowami pełnymi dźwięku i melodji, jakie wypełniają pierwsze dni uczucia. Myśl o mnie tylko wtedy jak czytasz moje listy, i zapominaj

prędko, powracając do swego szczęścia. Ja zamyslam zrobić pięknemu Leonowi honor zajęcia się jego przyszłością.

Roger de Monbert.

(d. c. n.)

## Z MŁODOCIANYCH PIOSENEK.

Takie równe pole.  
Patrzę w koło siebie,  
Co dołu na dole,  
Co nieba na niebie.

Żebym miała piórka,  
Żebym skrzydła miała,  
Od matki podwórka  
Wnet bym odleciała.  
Gdzie się lasek chmurzy  
Gdzie się stawy złocą,  
I z owój podróży  
Wracała przed nocą.

Matka u kądziółki,  
Siedzi w progu chatki,  
Wraca ją jaskółki  
A ja buch do matki.  
Skrzydłem ją musnę  
Po tym białym włosie,  
I pod strzechą usnę  
Na chłodzie, na rosie.

Wołają Jagódki,  
A Jagódka w strzesze,  
Dla mateńki smutki  
A ja się nacieszę.

Jeśli ja nicpota,  
Jeśli robię szkody  
Moja matko złota  
Nie płaczcie Jagody.

Dobra matka prządka  
Niechaj łez nie leje,  
Znow dziewczynka z kątka  
Do niej się zaśmieje.  
Niech twe łzy nie płyną  
Odbiegłam na krótko,  
I byłam ptaszyną  
Teraz znow Jagódka.

Teofil Lenartowicz.

## POGADANKA TYGODNIOWA.

O złoty wieku w postaci dziecięcej,  
Wiosno wesoła, ty się pięknie śmiejesz,  
Wszystko twój ujdzie płocności niewinnej  
Czy chłodem dmuchasz, czyli ciepłem grzejesz.  
Wolność jak dziecku dla swojej zabawki.  
Dziś urodzone straszyc śniegiem trawki.

Widać że wiosna zawsze była kapryśną, skoro ukochana nasza Drużbacka, tak serdeczna i pobłażliwa pomawiając ją o chłodne i śnieżne wybryczki, nazywa to tylko niewinną płocnością. Mniej wyrozumiały, wiosny wymagam w całej pełni uroczego jej wdzięku. Chcę aby zachwycała murawą, uśmiechała listkami i pragnę pioski skowronka, odgłosu fujarki, nawet muchy, komara i choćby jednego motylka co by szeptał pierwiosnkom o cudnych wdziękach róży i stokroci. Takię wiosny brak nam jeszcze.

Zafrasowany, mimo woli przeniosłem się myślą pomiędzy grona świątecznych godowników, okalających stoły sutęj zastawy. Mniej ona może obfita jak dawniej, mniej wyszukana, ale równie gwarna i ochotcza. Nie brakuje tam szeptań, motylowych westchnień, słów żądkiem zaostrzonych, tajemniczych spojrzeń, a przedewszystkiem nie brak tej serdecznej gościnności, co sporządza miejsca darzy gościa wszystkim czem chata bogata. Najpiękniejszy więc z niej przymiot został, o resztę mniejsza, boć człowiek nie samym żyje chlebem ale i duchem. Wpra-

wdzie niektórzy krytycy Warszawscy pastwiąc się nad Flammarionem, zapełniającym ciała niebieskie eterycznych przestrzeni życiem dla nas nieznanem, śmieją się z jego przypuszczeń: nie niszczy to jednak ważności prawdy powyżej przytoczonej. Wam zaś powiem ale w wielkiej tajemnicy, że za wszystkie krytyki jakimi pisma Warszawskie starały się ukamienować tę pracę uczonego astronoma, wstyd mnie niewymowny. Flammarion w dowodzeniu swoim, szedł ze się tak wyrażę od dołu do góry, przedstawił najprzód opinie starożytnych zgodne z jego przypuszczeniem, a następnie dał obraz nieograniczonej przestrzeni i czasu, nieograniczonej liczby słońc i światów i nieograniczonego rozwoju życia na ziemi, niewiadomego gdzie się zaczyna a gdzie kończy. Następnie przedstawił stosunek naszego globu do miliardów ciał niebieskich, jego malutkie znaczenie, tak malutkie, że nawet mowa ludzka oznaczyć go nie umie i wykazał na niektórych bliższych planetach naszego systematu, ślady atmosfer i inne oznaki, czyli warunki życia naszym podobne. Dodawszy do tego analizę światła, wydzierającą tajemnicę składu materji z jakich ta tworząca planety pierwiastków jest złożona, i dostrzegłszy w nich tożsamość z pierwiastkami naszego globu, przez analogję doszedł wreszcie do wniosku, że życie nie może być jedynie ziemi naszej właściwe, i że równie musi się rozwijać na wszystkich ciałach niebieskich wedle warunków im właściwych. Jakie jednak jest to życie o tem nie mówi, daje tylko ogólne zarysy co do strony jego duchowej, opierającej się na coraz wyższem moralnem udoskonaleniu.

O ile wnioski uczonego autora mogą być prawdopodobne, nie będę tego rozbiarał, w każdym razie nie można im odmówić loicznego zestawienia naukowych zdobyczy, które porządkowane i grupowane, wnioski te prawie robią koniecznymi. Rozbiór zatem dzieła w ten sposób napisanego, powinien także iść od dołu do góry, wykazać fałsz wyводу naukowego, błędność wprowadzonych rozumowań, a przypuszczenia Flammariona w takim razie upadłyby same przez siebie, jeżeli są błędnymi. Krytyka o której mowa inaczej sobie postąpiła, mozolne wspinanie się po szczeblach nauki odrzuciła na bok, a wzięta się od razu do góry i nuż Flammariona smagać jak krnąbrnego wyrostka, drącego ze złości elementarze. Rozgniewana, że autor nie wprowadza czytelnika na Marsa lub Jowisza, że nie pokazuje mu ani jednej istoty z tych sąsiedzkich nam światów, ale daje zadrukowane karty i każe je przeczytać, zapytuje się zakładając rękę z powagą filozoficzną, jaki miał cel Flammarion napisania tego dzieła, a pan Waga w przyswojeniu go językowi naszemu?

W jednym tylko głosie p. Sta. Kramsztyka zamieszczonym w Bibliotece Warszawskiej jest przynajmniej chęć sądenia Flammariona ze stanowiska naukowego, ale niestety ogranicza się głównie na wykazaniu, że teoria jakoby słońce było masą ciemną, otoczoną atmosferą świetlną, jest upadłą, bo nowa przyznaje mu naturę ognistą. Tak więc hipotezę jedną zastępuje drugą, i czepia się drobnostki małej niezmiernie wagi, a przynajmniej z główną myślą Flammariona w ścisłym nie zostającą związku. Czy bowiem słońce jest ciemne czy ogniste, czy ożywione czy martwe, to nie przeszkadza aby na innych ciałach życie nie miało być rozwinięte.

Gdyby owe rozbiory dzieła Flammariona, nie nosiły na sobie poważnego miana krytyki, ale gawęd, napomknien lub wzmianek pobieżnych, dałbym im pokój, wolno bowiem w korespondencji, w wyliczaniu dzieł bibliograficznych, wystąpić z własnym sądem, wrażeniem lub przekonaniem, o dziele najbardziej naukowem, bez naukowego i ścisłego dowodzenia. Gdy jednak czci się coś mianem krytyki i pomieszcza w dziele dla niej wyłącznie przeznaczonym, stosownie nawet zatytułowanym, to niechże będzie rzeczywistą krytyką a nie jej przedrzeźnianiem, pracą z myśli i nauki wyrosłą, a nie zabawką młodzieńca, próbującego o ile papier jest ciepłym a czytelnicy wyrozumiali. Gdyby Flammarion mógł czytać te oceny pracy swojej, smutnego by niezmiernie nabrał przekonania o stopniu naszego naukowego wykształcenia. Na szczęście nie umie po pol

sku i świat prawdopodobnie nie dowie się nigdy, jak u nas często krytyka nawet poważnych dzieł, jest lekkomyślnie traktowana. Pożądana w niej zmiana nie prędko jeszcze nastąpi, ale czas już wielki abyśmy głośno przyznawali jej to, na co zasługuje. Zdarzają się wprawdzie w pismach naszych oceny krytyczne, prawdziwy im zaszczyt przynoszące, ale te niezmiernie są rzadkie, a do nich żadnym sposobem krytyk dzieła Flammarjona policzyć nie można.

Nie porzucając szranek w jakie mimowoli zabrnąłem, chciałbym Was choć słówkiem obdarzyć o teatrze warszawskim, który pod nową dyrekcją nabrał życia przedtem mu nieznanego. Sztuki nowe nie są już dla niego żadną osobliwością, a uwieńczeniem jego starań jest wprowadzenie na scenę dramatów Szekspira, na które tak dawno czekaliśmy napróżno. Pierwszy który dostąpił tego zaszczytu, jest Kupiec Wenecki nie jeden z pierwszych zapewne, ale może jeden z najżywoźniejszych, bo malujący w całej swój grozie, walkę średniowiecznych pojęć, do dziś dnia jeszcze nie wytrawionych ogniem chrześcijańskiej miłości. Tę ujemną stronę społecznych naszych wyobrażeń, pan Królikowski siłą swego artystycznego geniuszu, przedstawił w całej swój prawdziwie, i Szajlok wyszedł zwycięzko, budząc niemal współczucie, wbrew zadaniu Szekspira zrobienia go wstrętnym i potwornym. Poczytać to należy za wielką zasługę panu Królikowskiemu, zwłaszcza że była obawa aby ulegając myśli dramatu, do ognia nie chciał dolać oliwy. Obszerniejsze sprawozdanie damy później, utworów bowiem podobnych pobię nie zbywać niepodobna.

Pan Kaszewski który w pracach swych piśmiennych, zawsze występuje jako utalentowany autor, a przytem sumienny i wytrawny estetyk, obdarzył nas nową komedią p. t. Nieśmiały spolszczoną z francuzkiego. Nie jest to właściwie komedia w ścisłym tego słowa znaczeniu, mimo tego zajmie komika rozweseli, a co najważniejsza że jest wypowiedziana wierszem dobrym, okraszonym w wielu miejscach zapalem prawdziwie poetycznym i polszczyzną wolną od wszelkich zwrotów cudzoziemskich. Są to dodatnie strony tej komedyjki i zasługa z nich wyłącznie należy się p. Kaszewskiemu: do ujemnych policzyć należy cały układ sceniczny i przesadę w głównych rolach osób wchodzących. Że proces dla wielu jest pożądanym a zgoda wstrętną, to nie wychodzi z granic prawdopodobieństwa, ale żeby dziewczeczka w krótkiej jeszcze sukience, tak była samowolną, stanowczą, śmiałą w zaczepce a nawet wytrawną już kokietką jak Klara: żeby młodzieniec z sercem gorącym, zakochany po uszy, tak znów był nieśmiały w wyznaniu swojej miłości jak Zdzisław, to wygląda na rażącą nieprawdę, przywołaną jedynie dla scenicznego efektu. Następstwo scen także niczem nie usprawiedliwione: osoby wchodzą i wychodzą, podskuchują, spotykają się, nie skutkiem konieczności zrecznie treścią dyktowaną, ale że dla przeprowadzenia jej trzeba było, aby scena postaciami temi a nie innymi napełniła się. Nie jest to winą p. Kaszewskiego ale autora, uniknięcie jej wymagało zupełnego przerobienia co było niepodobnem.

Gra artystów nader staranna, wiele się przyczynia do powodzenia tej sztuczki. Pan Tatarkiewicz widocznie postępuje w trudnym artystycznym zawodzie, i prawie można być pewnym, że nie biorąc rozbratu z pracą, wyjdzie z czasem na znakomitego artystę.

## WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE.

*Poradnik pielęgnowania zębów i ust* Dra W. Süersen'a dentysty, przełożył Aleks. Scheller (syn) dentysta.

Jakie są powody szerzących się coraz bardziej cierpień zębów, czyli jakim sposobem możemy wpłynąć na poprawę ich, skreślił Aleks. Scheller (syn) dentysta.

Są to dwie broszurki niewielkiej objętości, dopełniające się wzajemnie i traktujące gruntownie i jasno przedmiot jakiemu są poświęcone. Autorowie pomieścili w nich wszystko ze stosownym objaśnieniem naukowym, nie tylko co stanowi radę zachowania się, aby pielęgnowanie zębów było najlepszem i najtrafniejszem, ale i co je usprawiedliwia i robi zbawiennem. Staranność zaś przyswojenia rad tych, p. Süersen posunął nawet do tego stopnia, że przy końcu dziełka, przed traktatem o zębach sztucznych, pomieścił streszczenie dla tych, którzy tylko pierwszą i ostatnią stronicę książek czytać zwykli. Sławiona zatem dokładność i systematyczność niemiecka, ma widać i swoją ujemną stronę, skoro wywołała potrzebę zrobienia tego dodatku. Radzimy jednak czytelnikom pominąć tę uwagę i nie ograniczając się na dodatku, odczytać starannie obie broszury, bo żeby wszyscy mamy a któż z cierpieniem ich nie jest obeznany? Szczególniej też matkom, staranność tę polecamy. Rada na złe w późniejszym wieku, już jest tylko umniejszeniem cierpień i opóźnieniem szkodliwych z niego skutków, które prędzej później nastąpić muszą. Jak zaś zapobiedz temu złemu żeby nie powstało, jak postępować żeby dziecię z zarodem szkodliwym dla zębów na świat już nie przyszło: jak rozwinąć opiekę aby zęby rozwijając się normalnie od najpierwszej młodości, wykształciły się na narzędzia żucia silne i zdrowe i w stanie tym przechowały się do najpóźniejszej starości, tego właśnie uczą obie broszurki, i dla tego policzamy je do bardzo pożytecznych wydawnictw.

## Doniesienia literackie.

N. 64. *Przyjaciela Dzieci* wyszedł z druku i zawiera. Rozwallyn zamku w Szymbraku (z drzeworytem). Wielkanoc. Aleluja (wiersz) przez J. Kamocką. Stryjasek z Ameryki, (powiastka) przez Wołodego Skibę (ciąg dalszy). Prawdomówny ptaszek (wiersz z ryciną). Dawne przysłowia i przypowieści. Wodospad na rzece Cydnus (z ryciną). Myśli i zdania. Korespondencja od Redakcji. Cena w Warszawie miesięcznie kop. 35 kwartalnie rs. 1 kop. 5. Na stacjach pocztowych, na prowincji, w Cesarstwie i za granicą, kwartalnie rs. 1 kop. 75.

## O UBIORACH.

Elegantki paryzkie nieukazują się na ulicy dziś inaczej, jak tylko wszystkie prawie w kostiumach czarnych, jedyne urozmaicenie tego ubrania, stanowią dolne spódniczki kolorowe, zawsze jednak w pasy czarne, oraz kapelusze, czarne przystrojone odpowiednim kolorem.

Nowości wiosenne jeszcze nieukazują się w magazynach, jedyne ożywienie w strojach stanowią wyprzedaże, na których magazyny pozbywają się okryć z ubiegłego roku za bardzo niskie ceny. Nietrzeba sobie jednak wyobrażać żeby to były jakieś fasony lub materiały przestarzałe, przeciwnie to cośmy widzieli w magazynie p. Matuszewskiej, były to rzeczy jeszcze ładne powiedziano nam tylko że fasony niemożne, ale czyż wolny paletot, lub zreczna beduina nie przyda się zawsze w ubraniu kobiety mniej zamożnej? a tych jest tu wielki wybór bardzo gustownie wykończonych. Letnich okryć ceny są od rs. 3 do rs. 5, zimowych od rs. 6 do 10 rs. kilka opiszemy szczegółowo.

Paletociki z lekkich kortów jasnych, do figury mniej lub więcej wcięte, oraz wolne, objęte plisą z *poult de soie* przystembnowaną białym jedwabiem, rękawy paletotowe; cena 3 rs.

Paletoty długie do figury wcięte, z dobrej syberyjny, ubrane naszyciami szmuklerskimi lub materia, są w cenie od rs. 6.

Paletoty barankowe całe podszyte czarną jedwabną materia, wolne; cena rs. 8.

Beduiny w rozmaitych kolorach w drobne tureckie paski, ubrane na plecach rozetami szmuklerskimi i kwastami odpowiedniami; cena rs. 5 inne są droższe aż do 10 rs.

Oprócz powyższej wyprzedaży, widzieliśmy w magazynie tymże, okrycia sprowadzone już na tegoroczną wiosnę; tem się one różnią od dawniejszych że są znacznie krótsze, wolne i zapinane na jeden rząd guzików.

Paletot czarny syberyjnowy oszyty do koła piękną frendzlą szmuklerską, naszytą na nim, tak że nie przechodzi po za obwód, nad frendzlą idzie naszycie trzykrotne plisą z atlasu przystembnowaną czarnym jedwabiem w maszynie. Rękawy zwyczajne, u ręki otoczone trzy razy plisą z atlasu; cena tego paletota rs. 16.

Paletot wolny koloru złoto-brązowego z materiału *drap de velours* wycięty z boków w kształcie małych rozporków, objęty do koła szeroko, plisą z atlasu tegoż co paletot koloru i ubrany atlasowemi guzikami na bokach w ten sposób, że naśladuje to niby zapięcie rozporka. Oprócz plisy, frendzla otacza cały otwór paletota. Rękawy zwyczajne oszyte szeroką plisą naśladującą mankiet, zapinający się na małe guziki atlasowe; cena rs. 17.

Paletot *Flora* z materiału *drap de velours* koloru jasno granatowego. Przód tego paletota wolny, poły zupełnie równe, plecy do figury, w około obwodu poły wycinane w okrągłe zęby. Szwy idące na plecach pokryte są plisą z jedwabnego repsu z wypustką z atlasu czarnego, pasek zapinający się na kokardkę z przodu, czyni paletot zupełnie do figury, z pod tego paska wychodzą, plisy z materji z atlasowemi wypustkami, które niby szarfy spadają w każde wycięcie zęba i kończą się tamże kokardką z końcami z repsu. Cały obwód otacza piękna kważcikowa frendzla.

Były tam i inne jeszcze również gustowne i z materiałów w najlepszym gatunku.

## Korespondencja z Paryża.

Piękna pogoda zajaśniała już w Paryżu to też wytworne panie zrzuciły okrywkę, a ukazują się na ulicy w wiosennych kostiumach. Najczęściej napotykalimy kostium czarny kaszmirowy, przybrany piśmami atlasowemi i kaszmirowym wolantem. Forma kostiumu bardzo skomplikowana. W ogólności przemaga rodzaj, tworzący z przodu fartuszek, z tyłu podpięty w draperje, rozetami atlasowemi. Pasek atlasowy zapięty z tyłu na wielką kokardę, nie ma wcale szarf, spadają ledwie krótkie końce nie przechodzące długością pukli od kokardy, wstążka użyta na to bardzo szeroka. Końce najczęściej bywają wystrzępione, bywa ich po cztery pomieszanych z puklami.

Kostiumy jedwabne na wizyty tak się upowszechniły, że Paryżanki zachowują wyłącznie suknię powłóczystą na obiad proszony lub na wieczór. Kostium kaszmirowy służy na pomniejsze wizyty. Oprócz czarnych o których mówiliśmy powyżej, przyjęte i kolorowe kaszmirowe, ale zawsze w kolorach bardzo ciemnych: sliwkowym, tabaczkowym, rozmarynowym granatowym i t. p.

Kokardy ze wstążki atlasowej czy mantynowej niezmiernie używane do ubrania tak sukien jak i kostiumów. W jednym z pierwszych magazynów tutejszych widzieliśmy bardzo ładny kostium kaszmirowy koloru *raisin de Corinthe*, który zasługuje na szczególny opis.

Pierwsza spódniczka do ziemi, z szerokim obrębem na sztywnym płótnie, miała naszyte w górze obrębu, kokardy ze wstążki tegoż koloru jak sukien. Kokardy te składały się z czterech pukielków, przepiętych w środku, tworzących jakby skrzydełka u wiatraka; jedna od drugiej była w półkoleiowym blisko odstępie. Druga spódniczka znacznie krótsza, tworzyła z przodu fartuszek, tylne bryty bardzo roznieśiste, podpięte były w festony, na kokardy takie same jak u pierwszej spódnicy. Stanik gładki spinał się z przodu na kokardy zamiast guzików. W górze pleców

szła cokolwiek mniejsza kokarda, od niej dwa końce wstążki przechodziły do stanu i łączyły się z wielką kokardą zakończającą pasek. Pomniejsze kokardy na ramionach i mankietach, ładnie dopełniały całości.

Z pomiędzy sukien strojnionych, widzieliśmy piękną czarną z gładkiej materji. Spódnica powłóczysta miała u dołu półkociowy wolant marszczony bez główki, przyciśnięty plisą z atłasowemi wypustkami, nad tą plisą były dwie podobne w bliskich od siebie odstępach. Na to szła krótka tunika, zaokrąglona z przodu, bardzo roznieśista w tyle, obszyta wolantem szerokim na ćwierć łokcia. Od boków stanika, spadały dwie długie szarfy, które podpiwały w tyle tunikę, wielką rozetą z końcami. Stanik gładki pod szyję, przybrany był bertą, złożoną z ćwierćłokciowej falbany, przechodzącą przez środek stanika, berta ta spinała się z przodu na rozetę.

Jako nowość ukazują się suknie z bawetem dosyć śpiczastym z przodu. Prząd u tych sukien zamiast guzików spina się na rozety albo kokardy.

Drugą nowość stanowi stanik zwany *Talien*. Z tyłu jest on taki jak wszystkie, przód tylko ma szerokie wyłożenie z atłasu lub materji w kolorach żywych: pasowym, fioletowym, bouton d'or i t. p. Stanik taki robi się zwykle do sukni czarnej.

Uważaliśmy także bluzki z wyłożonemi kłapeczkami, co bardzo ładnie wygląda; bluzka czarna kaszmirowa miała kłapki podbite atłasem *cerise*, także mankiety i pasek zakończony z tyłu kokardą. Inna bluzka biała kaszmirowa, miała znów kołnierzyk marynarski z niebieskiego poult de soie, z pod tego kołnierza spadały szerokie końce od krawatki także niebieskie. Rękawy miały odpowiedni mankiety. Pasek niebieski związany w tyle, dopełniał całości ubrania. Tak kołnierzyk jak pasek naszyte były brzegiem, trzema rzędami białego jedwabnego sznurka.

Na małe wieczorki i na teatr noszą ogólnie suknie z wyciętym stanikiem bez rękawów, na białej muszlinowej lub tiulowej bluzce. Wykrój tego stanika bywa z przodu czworograniasty, plecy zaś wysokie. Nie kiedy cały stanik wykrojony w chusteczkę, tak z przodu jak i z tyłu. Do najmodniejszych biżuterji, należy naszyjnik algijski z czarnych paciorków przewłoczonych w odstępach złotem. Czarne paciorki są matowe złote przerabiane *à jour*, co kilka czarnych, przechodzi jedna złota; wielkość ich rozmaita, zwykle polnego grochu. Naszyjnik składa się z trzech, czterech albo pięciu sznurków, spadających coraz niżej na piersi; kładą go do białej bluzki lub na stanik pod szyję.

Kolczyki noszą zastosowane do naszyjnika, złożone z czarnych i złotych paciorków tworzących wisioriki.

S. z Ż. D.

### O wyrobach platerowanych srebrem.

W dawnych czasach, podczas większych uroczystości domowych, gromadzących pod jeden dach znaczniejsze grono godowników, z kredensów zdobitych jadalnie, wydobywano wazy, półmiski i czary z czystego wyrobione srebrowe, któremi zastawione stoły uginając się pod tak drogoceennym ciężarem, świadczyły chlubnie o zamożności pana domu. Przepych ten zniknął prawie zupełnie, potrzeba zmusiła zrobić z niego inny użytek, ale chęć nie tyle popisu z kosztowną zastawą, jak zadowolenia więcej rozwiniętego uczucia estetycznego, pozostała jedna, a nawet z pałaców i dworów możnych, przeniosła się do domów nawet mniej zasobnych. Przemysł zawsze skrzętny gdzie tylko korzyść upatruje, nie ominął tak dobrej dla siebie sposobności. Z tą powstawały fabryki wyrobów platerowanych srebrem, miłe w użyciu, a powierzchnością nader pognętnie przedstawiające się.

Fabryka taka p. "Frageta założona w Warszawie przed czterdziestu przeszło laty, istotną krajowi przyniosła przysługę, bo rozwinęła przemysł nieznanemu przedtem. W tych dniach zwiedzając ją, znaleźliśmy obfite zapasy wszelkiego rodzaju wy-

robów, które obok przeslicznej ozdoby, powleczone są grubą srebrną blachą 96 próby, zapewniającą im trwałość tak pożądaną. Po użyciu tych wyrobów, fabryka przyjmuje je w jednej trzeciej pierwsiastkowej wartości.

Z wielu fasonów sztucców stołowych, fason zupełnie gładki, bez żadnych wyrobów jest najmodniejszy, zwie się angielskim; ma tę głównie zaletę że doskonale naśladuje formę prawdziwie srebrnych; cena tuzina: łyżek, łyżeczek, noży i widelców jest 31 rs. 50 kop. bez względu jakiby był fason czy z deseniami wypukłymi czy bez nich. Pojedynczo tuzin łyżek kosztuje 9 rs. 50 kop. sztucców też samo, łyżeczek 4 rs. Łyżki wazowe są w cenie od 3 rs. do 4 za sztukę, podstaweczki bardzo zręczne pod sztuce tuzin 5 rs.

Serwisy stołowe jak np. półmiski, talerze, tace, wazy i t. p. najbardziej modne są tak zwane: *głoszowane* czyli *grawiirowane*, najczęściej rysunek naśladujący jakoby wyplatanie ze słomy, doskonale odwzorowane i przesliczne kształtem; gładkie zupełnie z wypukłym paskiem dokoła, niemniej są poszukiwane, ceny półmisków są od 8 rs. do 26 rs. Tace z dnami machoniowemi lub palisandrowemi z brzegami ze srebra ozdobnie w girlandy z kwiatów *rococo*, lub gładkiemi otoczone, są w cenach od 23 do 40 rs. Całe platerowane od 2 rs. 50 k. do 60 rs.

Cukiernice grawiirowane ozdobnie od ceny 7 rs. do 20 rs.

Pomijając tysiące szczegółów, o których można by wspomnieć, ograniczymy się jedynie opisem maszyny do kawy niezmiernie pięknych i urządzonych, z zupełnie nową maszyną.

Maszynka najwykwintniejsza francuzka tak się przedstawia: jest to naprzód dość duża srebrna taca, w środku której tkwi gruby pręt zakończony u góry piękną rozetą *rococo*, służącą za rączkę do trzymania maszyny w razie przenoszenia. Po prawej stronie prętu znajduje się wielki puhar ze szkła grubego, z pokrywą piękną ze srebra, po lewej zaś naczynie srebrne z kranem i rurką przechodzącą do wnętrza kielicha szklanego, naczynie to urządzone jest w ten sposób za pomocą wag, że się spuszcza na spirytus i podnosi w górę dowolnie, pod nim jest naczynko w którym pali się spirytus.

Teraz przystąpimy do gotowania samej kawy, sypie się ona w kielich szklany, wodę zaś naleć trzeba do naczynia umieszczonego po lewej stronie, którego pokrywa do nalania wody zdejmuje się, potem wkłada na powrót, gdy tak naczynie zostanie napełnionem, zapala się spirytus, naczynie napełnione wodą opuszcza się nisko na spirytus i zostaje w tym stanie dopóty, dopóki woda nieprzejdzie rurką do naczynia szklanego, pomimo to jednak spirytus palić się powinien, aż do zupełnego ukończenia gotowania kawy, która w takim razie winna sama zgasić spirytus, poczem zupełnie gotowa powrócić do naczynia srebrnego przez rurkę, zostawiając fusy na dnie szklanego kielicha. Kawa urządzona w ten sposób nalewa się kranem, ma być bardzo aromatyczna i ugotowana bardzo prędko. Trudno opisać dokładnie rzecz urządzoną, tak sztucznie, a przecież zupełnie prostą, trzeba więc tylko dodać że oprócz praktycznego pożytku jest to naczynie wielkie, bardzo pięknie wykończone i mogące niemało elegancji dodać zastawie stołowej. Cena tej maszyny jest 26 rs. 40 kop. Inne małe w kształcie samowarek są w cenach znacznie niższych, zaczawszy od 6 rs. do 24 rs.

### Opis ryciny paryskiej.

Fig. 1. Kostium z popeliny tabaczkowego koloru. Stanik gładki pod szyję, przewiązany krótką lecz szeroką szarfą. Kaftanik i rękawek z tejże popeliny obłożony futerkiem. Kapeluszyk przybrany piórem strusim.

Fig. 2. Kostium z czarnego poult de soie. U dołu sukni falbana półkociowa z nagłówkiem, nad nią

bufka marszczona; tunika w kształcie fartuszka ogarniowana węższą falbanką i bufką.

Paletocik wcinany do figury, przewiązany w pasie szarfą z szerokimi końcami. Kapeluszyk jedwabny przybrany atłasem, koronką i kwiatami fioletkowemi.

### Opis woalki.

Forma woalki którą dajemy w połowie wyciętą z papieru, bardzo jest modna. Zrobić ją można z tiulu w kropeczki i obszyć blondynką. Przyszyć końców woalki wypada w miejscach, gdzie litery A i B oznaczone.

## PRZEPISY KUCHENNE.

### N. 1. Mazurek makaronikowy.

Żółtek 12 z funtem cukru ucierać pół godziny, gdy się zaczną wzdymać i bielić, dodać funt migdałów cienko krajanych z temi potarłszy masę, dodać piankę z 12 białek dobrze ubitą, co rychło wymieszać, zlać do formy i wstawić do lekkiego pieca na dosyć długi czas do podsuszenia. W. P.

### N. 2. Mazurek cytrynowy.

Otrzeć żółtą skórkę z jednej cytryny na delikatnej tarce, samą zaś cytrynę gotować, póki się słomką z łatwością przebieć nie da, odrzucić ziarenka a cytrynę utrzeć zupełnie i przez serwetkę wycisnąć do sucha, zmieszać płyn z utartą cytrynową skórką, wsypać kubek mialko utłuczonego cukru i utrzeć to wszystko w donicy, dodając po jednym 6 żółtek i pół kubka kartoflanej mąki z którą znowu dobrze się uciera. Przed samem wstawieniem do pieca włożyć pianę ubitą z 6 białek, wymieszać ostrożnie, wlać do płaskiej formy, i wstawić do nie zbyt gorącego pieca. Podobnie robią się mazurki pomarańczowe. W. P.

### N. 3. Mazurek wyborny.

Migdałów słodkich utłuczonych pół kwarty, cukru przesianego pół kwarty, masła 2 łyżki, 2 jajka całe 2 żółtka, mąki 2 kwatery, wszystko to razem uwiercić przez pół godziny, rozciągnąć na opłatkach i piec w wolnym piecu. R.

### N. 4. Mazurki.

Kwartę mąki, funt 1 masła, funt 1 cukru, kubek migdałów słodkich tartych, 2 jaja wymieszać i utrzeć wszystko razem, następnie rozciągnąć masę na papier masłem wysmarowany z załamaniami brzegami, bo ciasto wyrośnie jak biszkopty. R.

### N. 9. Mazurki z palonych migdałów.

Migdałów nieparzonych 1 funt upalić w piecyku od kawy, aby się obrumieniły. Cukru przesianego 1 funt, i migdały tłuc razem na masę, dodać 2 tabliczki utartej czekolady, pół kwatery masła surowego, tłuczonych goździków, cynamonu, skórki cytrynowej siekanej, dwa całe jaja, wymieszać to wszystko razem, i piec w miernie gorącym piecu na opłatkach na grubość palca. R.

## Korespondencja.

Pani Marji By. Papier różowy na kwiaty kosztuje stosownie do gatunku od 30 kop. do 50 kop.

**Listy i przesyłki pieniężne** na sprawunki, adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza Ulica Zabia Nr. 956 dom dawniej Krzemieńskiego.

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina paryżka kolorowana i forma woalki wycięta z papieru.